

Rozdział I

Zeszyty się przydają, czyli warto gromadzić zapiski

Nigdy nie dawałem po sobie poznać, ale przez lata wkurzałem się, słysząc o swoich „magicznych zeszytach”. Wiem, wiem – nikt mnie nie chciał urazić, ale po każdym takim stwierdzeniu czułem się jakbym nic o siatkówce nie wiedział, a zeszyt był dla mnie tym, czym dla Gumisiów sok z gumijagód. Bez niego ani rusz.

A niech to, znów zaczynam od środka, przepraszam. No więc chodzi o to, że od wielu lat na mecze siatkówki, podczas których pracuję z mikrofonem, wybieram się z zeszytem uzbrojonym w nazwiska zawodników, ich sukcesy i jakieś inne – mniej lub bardziej przydatne terminy, haselka i fakty. To dla mnie coś w rodzaju programu, który można kupić przed każdym meczem żużlowym. Ta ściągą jest niezłą bazą, ale i... okazją dla niektórych, żeby ze mnie dworować. Nic to, przecież nie będę się tym przejmował. Wkurzenie minie jak lipcowa burza, a zeszyt pozostanie na lata. Czasem się nawet przyda. Tak jak teraz.

Sięgam po pierwszy z nich, założony w 2001 roku. Wojtek Małka ma wtedy 17 lat i od dłuższego czasu trenuje na pełnych obrotach w pilskim Jokerze. Na razie w grupach młodzieżowych. Mam przed sobą juniorski skład Jokera z tamtego sezonu. Niezła i perspektywiczna paka. Tylko trzech chłopców z rocznika 1983 (Krajewski, Kordjalik i Syguła), pozostała jedenastka rok młodsza. To właśnie oni (wśród nich, rzecz jasna, Wojciech Małka) wywalczyli parę miesięcy wcześniej wicemistrzostwo Polski kadetów. A później miało być jeszcze lepiej.

W zeszytcie widzę również kilka stron poświęconych mistrzostwom Wielkopolski szkół ponadpodstawowych zwanym także „Licealiadą”. Imprezę zorganizowano w hali przy Bydgoskiej. Była ciepła końcówka marca 2002 roku. Gospodarz, Zespół Szkół im. Stanisława Staszica, bazował wtedy na graczech młodego Jokera, nic więc dziwnego, że nie tylko w województwie nie miał sobie równych. Mecz finałowy pilska „Nafta” wygrała bez straty seta, a dążąc do złota położyła na łopatki jednego z wcześniejszych rywali (mniejsza o nazwę) 2:0 (25:4, 25:7)! Na kartce zapisałem, że najlepszym atakującym imprezy wybrano Wojciecha Małkę, a w głowie zanotowałem, że wszystkie mecze pilan obserwowały tłumy kibiców.

To zasługa Krzysztofa Muchewicza, ówczesnego dyrektora szkoły przy Powstańców Wielkopolskich, który zwolnił uczniów z lekcji, pod warunkiem, że ci będą wspierać dopingiem swoich kolegów. Obecność sprawdzano na trybunach. Dodam jeszcze, że architektem tamtych sukcesów był Edward Klimiuk, trener pilskich nastolatków. - *Dopiero wtedy wielu nauczycieli otworzyło oczy i przekonało się, jak ciężko trenują nasi chłopcy, jak świetnie grają i jak trudno im pogodzić uprawianie sportu na takim poziomie z nauką. Myślę, że podczas tamtego turnieju wielu kibiców stało się kibicami siatkarzy z „Nafty”. I przychylniejszym okiem patrzyło na nich podczas lekcji* – wspomina Krzysztof Muchewicz, znany również z bardzo żywiołowego dopingowania swoich chłopców. Na meczach kibicował całym sobą. I to dosłownie.

Pozwólcie, że na chwilę odłożę zeszyt, burząc przez to chronologię, ale zależy mi na dopieszczeniu wątku Licealiady. Późną wiosną 2002 roku uczniowie „Nafty” pojechali do Olsztyna, gdzie odbył się ogólnopolski finał imprezy. I tam Wojtek Małka wraz z resztą wspaniałej ekipy zdobył złoty medal! Zespół prowadził duet Klimiuk – Kolpy, który miał wiele powodów do radości zwłaszcza po ostatnim, najbardziej wyrównanym meczu. Spotkanie z ZST Tomaszów Mazowiecki, mimo że wygrane 3:0, kosztowało drużynę sporo nerwów. Ale trudno, żeby było inaczej, gdy sety kończą się wynikami 28:26, 26:24 i 25:23. To był wielki sukces, powielony przez uczniów Edwarda Klimiuka (już bez Wojtka w składzie) jeszcze kilka razy. Choćby rok później, znów w Olsztynie i po dwóch latach w Pile.

Wracam do zeszytu. Kolejna kartka to już finał mistrzostw Polski juniorów w Pile A.D. 2002. Oba turnieje (ten wielkopolski, o którym było wcześniej i ten mistrzowski) dzieliły ledwie dwa tygodnie, a łączył ten sam obiekt. Do tych zawodów z pewnością jeszcze wrócę. Teraz wspomnę tylko, że prowadzeni przez Czesława Kolpego Jokerowcy nie należeli do faworytów, a mimo to zdobyli srebro! Chłopcy sprawili świetny prezent licznym kibicom i kierownictwu klubu, który w tamtym sezonie obchodził dziesięciolecie istnienia. W każdym z pięciu meczów turnieju Wojtek wychodził w pierwszym składzie. Razem z nim wyjściową szóstkę tworzyli: Marcin Budzisz, Michał Lach, Jakub Kaźmierski, Paweł Nalikowski i kapitan Łukasz Jurkojć. Rolę libero pełnił Dariusz Krajewski (otrzymał tytuł najlepszego na swojej pozycji w całym turnieju), a o silną rezerwę zadbali: Jakub Malinowski, Tomasz Aszemberg, Błażej Szubstarski, Bartłomiej Syguła i Kamil Łyczko – jedyny członek pilskiego zespołu, który po przegranym finale z AZS Częstochowa chodził po sali jak struty. - *W sporcie liczy się tylko zwycięstwo* – podkreślał na każdym kroku. To srebro było jednak niemal tak samo cenne jak złoto, bo całkiem niespodziewane. Charyzmatyczny trener Kolpy podkreślał niebagatelną rolę pilskich kibiców: - *Byli naszym siódmym zawodnikiem* – czytamy w artykule redaktora Piotra Chabowskiego (Tygodnik Pilski), wklejonym do mojego żółtego zeszytu.

Rok po tym zdarzeniu Joker pojechał na finały do przygranicznego Gubina. Nie dało się ukryć, że był tam jednym z głównych faworytów. I znów spisał się świetnie, powtórzył pilski sukces, sięgając po srebro, ale tym razem medal nie smakował jak deser. Również dlatego, że Piła prowadziła w ostatnim spotkaniu 2:0, a przegrała z MOS-em Wolą Warszawa po tie-breaku. Poza tym Wojtek i jego rówieśnicy kończyli już wiek juniora. Każdy z nich miał świadomość bezpowrotnie utraconej szansy. Drogę do Gubina Joker wyklarował sobie przy Bydgoskiej, gdzie w ostatni weekend kwietnia zajął drugie, premiowane awansem miejsce w juniorskim półfinale. Tym razem za najlepsze ogniwo pilskiej armady uznano Marcina Budzisa. Półfinałową rozgrywkę pamiętam dobrze, bo do hali przyjechałem bezpośrednio z Poznania, gdzie na co dzień studiowałem socjologię. W piątek, kiedy impreza wystartowała, obchodziłem 20. urodziny. Rodzice czekali z tortem w domu, a ja, nic im nie mówiąc, spędzałem kolejne godziny przy Bydgoskiej. Całe szczęście, że niespodzianka się nie rozplynęła.

A później zaczął się mój romans z siatkówką plażową. Romans, który trwa do dziś. Wierny tej dyscyplinie był również Wojtek Małka, wielokrotny zwycięzca plażowych turniejów różnej maści. Ale na opisanym w zeszycie Turnieju o Puchar Bałtyku w Darłównu (7-10 lipca 2003 roku) do podium nie dotarł. Wygrali za to inni pilanie: w gronie kadetów Mateusz Iglewski z Mateuszem Radojewskim (dziś trener



Po prostu Wojtek

kadry Polski), a wśród juniorów Michał Lach z Kamilem Łyczką. Czwarte miejsce w młodszej grupie zajęli bracia Kubiakowie, Błażej i Michał. Ten drugi miał zaledwie piętnaście lat i już wtedy budził powszechne uznanie. Drobne braki fizyczne skutecznie nadrabiał charakterem, dzięki czemu tak wcześnie zaczęła się jego niezwykle błyskotliwa wspinaczka po wielkie sukcesy.

A jak poradził sobie nasz dzielny i charakterny Wojtek? Wraz turniejowym partnerem, Adamem Mikołajką z Pucka, dotarli do ćwierćfinału w rywalizacji juniorów, w którym ulegli późniejszym zwycięzcom, parze Lach – Łyczko. Jeśli dobrze pamiętam, w czwartkowy wieczór, 10 lipca wracałem razem z Wojtkiem tym samym autem. Kierowcą był Włodzimierz Winkler, a jego niezniszczalna Ascona (która w końcu trafiła na złom, choć wcześniej nigdy się nie psuła) błyskawicznie połykała kolejne kilometry powrotnej trasy do Piły.

W następnych edycjach Pucharu Bałtyku Wojtek już nie występował. Z prostej przyczyny: wyrósł z butów młodzieżowca, a impreza nad naszym pięknym morzem była pomyślana dla ciut młodszych od niego. Do 2014 roku o tę imprezę jak o własne dziecko dbał Wojciech Klęsk, wspaniały sędzia i przemiły człowiek. Paręnaście miesięcy później, po ciężkiej chorobie zmarł, a my musieliśmy się z nim przedwcześnie pożegnać. Śpieszmy się kochać...

Kolejny zeszyt, następne wspomnienia. Tym razem już uboższe, bo jesienią 2003 roku Wojtek wyemigrował na stałe do Poznania i na siatkarskich parkietach spotykaliśmy się rzadziej niż do tej pory. A więc skaczę o cztery lata do przodu i ląduję w okolicach Dnia Nauczyciela. 12 października 2007 roku rozpoczyna się Turniej o Puchar Prezesa MUKS Joker Piła, Jerzego Jasińskiego. W trzydniowych zmaganiach bierze udział sześć drużyn, w tym AZS UAM Poznań. Jego trenerem jest Damian Lisiecki, a kapitanem Wojciech Małka. Imprezę wygrywa AZS UZ Zielona Góra, a poznaniacy lądują na ostatnim miejscu. Nagrodę za trzecią lokatę zgarbia KS Poznań, który kilka miesięcy wcześniej wykupił miejsce w pierwszej lidze od piłskiego Jokera. Całkiem silny personalnie, ale niepoukładany organizacyjnie poznański twór, który za symbol wybrał tygrysa, szybko padł na pysk i wyleciał z ligi na zawsze. Więcej: nie spłacił pilan, przez co sytuacja męskiej siatkówki nad Gwdą była jeszcze gorsza niż przed sprzedażą miejsca. W siatkarskie serce Jokera zajrzało nawet widmo likwidacji. Szczęśliwie tym razem jeszcze udało się zażegnać najgorsze.

Następne zeszytowe wspomnienie z Wojtkiem w roli głównej wiąże się z drugim dniem lutego 2008 roku. W ostatnią sobotę karnawału jego „Mickiewiczowski” Poznań przyjechał na Bydgoską, żeby walczyć o drugoligowe punkty. Niestety dla gości, bez powodzenia. Z tamtego spotkania pamiętam moją mikrofonową wpadkę, kiedy po świetnym ataku z prawego skrzydła Wojtek zdobył punkt, a ja – siedząc tuż obok niego, wrzasnąłem:

- *Brawo, Wojciech Winnik!*

- *Wojciech Małka!* - poprawił mnie bez krzty uśmiechu.

Głupio mi się zrobiło. Widzę, że w zeszycie przy jego nazwisku postawiłem wykrzyknik. Pewnie pacnąłem go właśnie po tamtej akcji, żeby mieć się na baczności i więcej takich gaf nie popełnić. 24-letni Małka był wyróżniającą się postacią lutowego spotkania.

W listopadzie tego roku AZS UAM ponownie dotarł do Piły. Ponownie z Małką w składzie i ponownie wrócił nad Wartę bez sukcesu. Marzący o awansie do pierwszej ligi Joker nie dał poznaniakom wygrać choćby seta. Za to w styczniowym rewanżu to Akademicy zwyciężyli pilan do zera.

Przy nazwisku Wojtka w kolejnym zeszycie postawiłem jeszcze jeden wykrzyknik. Tym razem nienaturalnie duży. Rzecz działa się 27 listopada 2010 roku. Tydzień po pogrzebie Wojtka, w hali przy Żeromskiego seniorzy Jokera grali o punkty ze Stalą Nysa. Spotkanie poprzedziła chwila przejmującej ciszy. Wojciech Małka był już w lepszym świecie. My dalej zmagaliśmy się ze zmorami niełatwej codzienności.

Rozdział II

Oddajmy głos rodzicom

Nim zabrałem się za pisanie, odwiedziłem państwa Marię i Eugeniusza Małków. Gdyby ktoś chciał zajrzeć do rodzinnego domu Wojtka, musi trafić na peryferie Piły, do ostatniego bloku przy Kossaka. Stąd już blisko nad Płotki i Jelonki, a jeszcze bliżej do słynnej fabryki żarówek. Przyjęto mnie serdecznie, moją propozycję również. Otwarto przede mną drzwi, wspomnienia i albumy ze zdjęciami.

- Wojtek przyszedł na świat 8 kwietnia 1984 roku. Mieszkaliśmy już tutaj ładnych parę lat, oboje pracowaliśmy wtedy w Kombinacie Budowlanym. Bliziotko, kilkaset metrów stąd – wspomina pan Eugeniusz. - Byli już z nami wtedy pięcioletni Tomek i trzyletnia Ania. Najmłodsza Marta przyszła na świat trzynastę lat po Wojtku.

Słucham dalej. Rodzice mówią naprzemiennie, uzupełniają się: *- Kiedy Wojtek miał trzy lata, trafił do Przedszkola nr 7. Tego samego, które niedawno przenieśli do „Dwójki” na Roosevelta.*

Ta właśnie Szkoła Podstawowa nr 2 była kolejną placówką, w której pobierał naukę wysoki blondynek. Spędził tam osiem lat, przy czym pięć z nich w klasie



Prezent znaleziony pod choinką



Wspaniałe, dziecięce czasy

sportowej. Na nudę nie narzekał, miał w tygodniu dziesięć godzin wuefu. - *Lubił piłkę nożną. Wspominał kiedyś, że gdyby na nią postawił, to może zrobiłby większą karierę. W ogóle był wszechstronnie uzdolniony. Każdy sport był mu bliski. Kibicowsko także żużel, na który zaczęliśmy go zabierać w latach 90. Stadion sąsiadował z jego szkołą, więc czarny sport wahał na co dzień. Zresztą Wojtek pasjonował się motoryzacją, samochodami. Chciał nawet kupić sobie motocykl, trochę się tego baliśmy. Co do zainteresowań: w szkole wyróżniał się z historii, miał z niej szóstkę. Bardzo też lubił geografię, wcześniej zaczął się wgryzać w politykę. Pochłaniały go dobre filmy. Mało kto wie, że brał kiedyś udział w castingu na modela reklamującego odzież. Zmarł młodo, ale przyjaciele twierdzili, że miał umysł 40-latka. Szybko dojrzał i był powszechnie szanowany. Jeden z jego przyjaciół stwierdził, że nie zna osoby, która by go nie lubiła. I rzeczywiście coś w tym jest. Wojtek też kochał ludzi. Zawsze mówił, że każdego trzeba wysłuchać, ale należy mieć swoje zdanie.*



Na balu przebierańców



Wojtek Małka - ten najwyższy



I jeszcze jedna zabawa

Pierwszym nauczycielem siatkarskiego rzemiosła był dla Wojtka Tomasz Idzikowski. Z kolei w siódmej albo ósmej klasie (tata już tego nie pamięta) zorganizowano w „Dwójce” spotkanie rodziców z Włodzimierzem Winklerem, wiceprezesem Jokera Piła. To właśnie wtedy Wojciech Małka (głównie za sprawą ojca) przetańcił kolejne siatkarskie szlaki i zaczął kilkuletnią przygodę z klubem, który swoją siedzibę miał przy Warsztatowej. Czyli w miejscu, które dawniej było matecznikiem osławionego ZNTK.



Końcówka szkoły podstawowej



Na Komunii Świętej starszego brata

go przyjęli. Z satysfakcją. Wojtkowi też ulżyło.

- O siatkówce mówił w domu niechętnie albo wcale. Chłopcy osiągnęli duże szkolne i klubowe sukcesy, ale w rodzinie nie był to temat numer jeden. O swoich treningach Wojtek opowiadał tylko czasami. Raczej wszystko przeżywał w środku. Miał w sobie upór, był też samodzielny. Nie potrzebował się uzewnętrzniać, chociaż był towarzyski, a dzięki siatkówce spotykał wiele osób. Często jego koledzy odwiedzali nasze mieszkanie, a my dzięki temu mieliśmy okazję ich poznać.

Jak to zwykle bywa, egzamin maturalny szedł w parze z końcem wieku juniora. To dla sportowca trudny moment,

- Kiedy Wojtek rozpoczął poważniejsze treningi (najpierw trenował w Szkole Podstawowej nr 8), zaczęliśmy chodzić na mecze siatkówki. Wcześniej nie bardzo nas to interesowało, ale z czasem staliśmy się jej kibicami. I tak jest do dzisiaj.

Następny etap edukacji Wojciech Małka rozpoczął w Liceum Ogólnokształcącym przy Wincentego Pola. To bardzo prestiżowa placówka, z bogatą historią i setkami wspianiałych wychowanków. Sęk w tym, że na siatkówkę raczej tam nie stawiano, więc Wojtek czuł się wyobcowany. Gdzie indziej pobierał naukę, a z kim innym uprawiał sport. W rezultacie po roku skorzystał z zaproszenia wspomnianego już dyrektora Muchewicza i obrał kurs na „Naftę”. A tam praktykował niemal cały Joker. Trafił więc do swoich i swoich



Komunia siostry

nie każdy potrafi łagodnie przebrnąć ten kryzys. Część się poddaje, zawiesza buty na kołku, szybko zapomina o dyscyplinie, która była ich oczkiem w głowie, zasiada na kanapie i przybiera na wadze. Wojtek chciał grać dalej. Trafił do Poznania, w czym pomógł mu Włodzimierz Winkler. Akurat w tamtym okresie uniwersytecki Poznań, głównie za sprawą niezapomnianego Tomasa Zajączkowskiego, zaczął budować męską siatkówkę. Małka szybko stał się jednym z filarów drużyny. - *Studiował zaocznie, trenował i grał. Dzięki występom, nie musiał płacić chesnego. Zaczynał w przyciasnej hali na Młyńskiej. Przyjeżdżaliśmy tam na mecze, oglądaliśmy je z niewielkich trybun na balkonie.*



Mały Wojtuś

Raczkujący AZS UAM miał szansę na awans do drugiej ligi już w 2004 roku. Niestety, marzenia runęły jak domek z kart w pierwszy piątek kwietnia. Ambitni poznaniacy byli w drodze do Sulęcina, jechali na turniej finałowy, którego stawką była promocja do wyższej klasy rozgrywkowej. W okolicach Skwierzyny wydarzył się tragiczny w skutkach wypadek. Trener Akademików, Tomasz Zajączkowski, zginął na miejscu, a czterech towarzyszących mu siatkarzy trafiło do szpitala. - *Wojtek też miał wtedy jechać z trenerem, ale chyba poszedł do ubikacji i nie zdążył. Wsiadł więc do busa, którym podróżowała większa część drużyny. Trener z czwórką chłopaków był już w trasie. Niestety, tej ostatniej...*

Kiedy parę lat później pożegnaliśmy również Wojtka, narodził się memoriał poświęcony obu ludziom siatkówki. - *Zawsze mogliśmy liczyć na zaproszenie, Damian Lisiecki, główny organizator, nigdy o nas nie zapomniał. Każdy z tych turniejów odbywał się w nowej hali na Morasku, każdy tuż przed Nowym Rokiem – wspominają rodzice.*

Cofnijmy się jeszcze w czasie, oddając głos Marii i Eugeniuszowi Małkom: - *Wojtek był ambitny. Nie tylko studiował i grał (od 2006 roku w drugiej lidze), ale już w trakcie nauki podjął pracę w roli przedstawiciela handlowego. Jeździł z towarem po Poznaniu i okolicach, miał dobre wyniki. Tam, gdzie ktoś inny nie mógł sobie poradzić, jechał Wojtek i zawsze potrafił się porozumieć. W pracy miał posłuch, co go*

cieszyło. Był wobec siebie bardzo wymagający, ale i chwalony przez współpracowników, którzy zresztą pamiętali o nim, kiedy zaczęła go atakować choroba. Pamiętali też po śmierci, dając na mszę.

Po studiach przed Małką otworzyła się szansa transferu do Wrześni. Ostatecznie jednak Wojtek został w Poznaniu, który stał się dla niego drugim domem. Miał do dyspozycji służbowy samochód i sprawdzonych przyjaciół. A kiedy nadarzała się okazja i robiło się ciepiej, śmigał na turnieje plażówki: - *Udawało mu się tam nawet co nieco zarobić* – wspominają z uśmiechem najbliżsi.

Ten uśmiech zniknął, gdy poruszyliśmy najtrudniejszy temat - chorobę: - *To się zaczęło w 2010 roku, zaraz po Dniu Kobiet. Wojtek dostał w pracy nowy samochód, ale niespecjalnie z niego korzystał, bo źle się czuł. Narzekał na ból z lewej strony brzucha, nie mógł z tego powodu trenować. Podejrzał, że może to być wyrostek, jednak na SOR-ze stwierdzono, że niekoniecznie o to chodzi. Próbowano zatrzymać go w Poznaniu, ale on wolał wrócić do Piły. Tu zajęli się nim sprawdzeni lekarze: Karol Nowicki, Barbara Dopieralska i Krzysztof Zajęc. Po badaniach okazało się, że Wojtek ma guza. Twierdzili, że w 80 procentach wyjdzie z tego. Guz znajdował się przy nerce. Specjaliści próbowali rozszyfrować, co mogło spowodować pojawienie się intruza. Podejrzewali nawet uderzenie piłką w jądra. Dość szybko, bo też w marcu pojawiły się liczne zmiany na płucach. Potrzebna była operacja, a później, w wyniku komplikacji i złych wyników krwi, także chemia. Od maja Wojtek regularnie odwiedzał szpital na poznańskich Garbarach. Leżał tam przez tydzień, po czym wychodził i po jakimś czasie znowu wracał. Najpierw markery spadały, ale później choroba wracała. Wojtek cały czas żył nadzieją, wierzył, że wyjdzie na prostą. Planował sylwestrowy wyjazd do Paryża, do swojej chrestnej, która mieszkała tam od lat. Przed Wszystkimi Świętymi stracił odporność i znów trafił do szpitala, tym razem w Pile. Ostatnie chwile życia spędził w izolatce, w Poznaniu.*



Na plażowce Wojtek też wygrywał